

Tajemnice ciała

6 stycznia 2012

Od wieków człowieka fascynował człowiek – banał? Jeśli tak, to jest w nim tyle prawdziwej i czasem bolesnej ludzkiej historii, jakiej w innych banałach brakuje. Już w starożytnej Grecji filozofowie tłumaczyli prostemu ludowi, do czego służą poszczególne organy wewnątrz ciała. I już wtedy anatomia człowieka nie była obca współczesnym.

Gorzej było ze zrozumieniem, jak ona działa, co prowadziło często do kuriozalnych technik leczenia. I tak jeszcze w XIX wieku sądzono, że w żołądku następuje miażdżenie potraw zamiast trawienia, a za czasów Ludwika XIV lewatywa była „lekiem na całe zło” i w dobrym tonie było robić ją nawet kilka razy dziennie.

Przyzwyczailiśmy się już od tego, że jeśli coś nas boli, idziemy do lekarza, a ten wie wszystko o tym, co i jak w naszym organizmie jest poukładane. Wydaje nam się to naturalne. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że obecną wiedzę dysponujemy stosunkowo od niedawna. Jeszcze na początku XX wieku wadę serca myłono z gruźlicą, a tą groźną chorobą zakaźną, nazywaną suchotami, traktowano dosyć frywolnie, co doprowadzało niejednokrotnie do tragicznych w skutkach epidemii.

Jeszcze w XIX wieku George Sand, ukochana Fryderyka Chopina, w swoich listach do znajomych pisała, że w Hiszpanii mają dużo „przesądów związanych z zaraźliwością”. Hiszpania była jednym z nielicznych krajów, w którym obowiązywały ścisłe przepisy dotyczące tego, co należy zrobić w przypadku zakażenia gruźlicą. Dla Sand śmieszne było palenie wszystkich mebli i ubrań, których używał chory na suchoty, i całkowite izolowanie go od świata zewnętrznego. Teraz już wiemy, że Hiszpanie mieli rację i dzięki surowym przepisom uniknęli pogromu choroby pustoszącej ówczesną Europę.

CO DZIEJE SIĘ W ŻOŁĄDKU?

U starożytnych więcej do powiedzenia na temat anatomii człowieka mieli filozofowie niż lekarze. Ci ostatni mieli zresztą w ogóle mało do powiedzenia. To filozofowie decydowali, który z ludzkich narządów jest ważny, często wbrew zdrowemu rozsądkowi. Uważano na przykład, że żołądek jest siedliskiem duszy. W średniowieczu lekarze uważali żołądek za najważniejszy narząd człowieka i o ile trudno polemizować z takimi teoriami – czysto filozoficznymi – to już samo funkcjonowanie żołądka postrzegane z ich punktu widzenia wzbudza teraz uśmiech politowania.

Przez długi czas filozofowie zaprzeczali istnieniu w żołądku czegoś takiego jak kwasy, a już kompletnym dziwem było dla nich wyobrażenie sobie, że może on przemienić surowy pokarm w łatwo przyswajalną substancję. Uważali raczej, że w żołądku następuje „miażdżenie, rozbijanie, rozcieranie i odwirowywanie pokarmu”. Jeden ze szkockich lekarzy, Archibald Pitcairn, obliczył nawet, że żołądek może „wywierać nacisk o sile ponad 181 ton”...

Do ówczesnych lekarzy nie trafiały inne teorie, pomimo że niektórzy uczeni byli w stanie przeprowadzić badania dowodzące, iż za trawienie odpowiedzialne są soki żołądkowe, a nie tajemnicze miażdżące siły. Było tak aż do pewnego wydarzenia, które zmieniło dział medycyny zajmującej się trawieniem już na zawsze.

Rzecz działa się w Stanach Zjednoczonych zaraz po wojnie z Wielką Brytanią. Młody lekarz William Beaumont, zaprawiony w bojach chirurg wojskowy, rozpoczął cywilną praktykę lekarską w małej miejscowości w stanie Michigan. Praca była wręcz nudna w porównaniu z dynamiką wojenną. Jednak 6 czerwca 1822 rozpoczął się nowy rozdział w życiu lekarza, medycyny oraz handlarza futrami Alexisa St. Martina. Młody wojażer podczas podróży handlowej do miejscowości, w której pracował Beaumont, uległ postrzałowi, a w jego wyniku doznał groźnych uszkodzeń ciała.

Ludzie, którzy byli na miejscu wypadku, cofali się na widok straszliwych ran odniesionych przez Alexisa. Jednak były lekarz wojskowy rzeczowo i fachowo przystąpił do opatrywania ran, chociaż nie dawał rannemu więcej niż 30 dni życia. „Kula uderzyła ukośnie, do przodu i do wewnątrz, dosłownie zdmuchując powłoki ciała i mięśnie na powierzchni o wymiarach mniej więcej ludzkiej dłoni. Zabierając ze sobą przednią część szóstego żebra, łamiąc żebro piąte, rozrywając dolny kawałek najniższego płata lewego płuca oraz przebijając przeponę i żołądek” – napisał Beaumont w raporcie lekarskim.

Ku zdumieniu wszystkich młody handlarz futrami, mając w sobie przeogromną siłę przetrwania, powoli zaczął dochodzić do zdrowia, a na ranach zaczęła pojawiać się tkanka bliznowata. Choć większość ran goiła się, pojawił się problem z otworem po kuli. Ten nie chciał się goić i według lekarza przypominał „we wszystkim oprócz zwieracza naturalny odbył”. Wyglądało to tak, że cały posiłek, który spożywał Alexis St. Martin, po jakimś czasie sączył się z żołądka przez ranę. Po roku od wypadku wszystkie rany zagoiły się idealnie, dziura w żołądku jednak pozostała i gdyby nie stosowanie przez lekarza opatrunków, kompresów i bandaży, cała zawartość posiłków nie dochodziłaby naturalnym biegiem do jelit.

Beaumont wiedział, że jego pacjent jest więcej niż osobliwością medyczną. Dzięki niemu zyskał szansę na to, żeby w końcu zobaczyć na własne oczy, jak żołądek radzi sobie z pokarmem. William Beaumont przeprowadził na St. Martinie serię doświadczeń. Nie były one zbyt delikatne ani przyjemne dla pacjenta. Dość powiedzieć, że jedno z nich polegało na wkładaniu w otwór po ranie długiej rurki, którą potem lekarz próbował wyciągać. Po jednym z takich doświadczeń pisał, że musiał użyć sporej siły, żeby rurkę wyciągnąć, bo żołądek „wykazuje dość dużą siłę ssącą”. Nie ma co się oszukiwać, obiekt setek badań doktora Beaumonta w końcu uciekł (robił to kilka razy, jednak w końcu udało mu się skutecznie). Widocznie miał dość wciskania przez dziurę różnych przedmiotów i

obserwacji procesów przełykania oraz trawienia.

Epilog tej historii jest taki, że badania przeprowadzone w XIX wieku przez Williama Beaumonta zostały potwierdzone dopiero 147 lat później przy zastosowaniu najnowocześniejszych technik. Sam obiekt badań zmarł w nędzy i pochowany został w ukryciu przez swoją rodzinę, która słusznie się obawiała, że nawet po śmierci naukowcy nie dadzą mu spokoju. Alexis St. Martin został uhonorowany za swój wkład w rozwój medycyny dopiero w latach 1960., a lekarz William Beaumont lekko potępiony za sposób, w jaki traktował swojego pacjenta.

LEWATYWA DLA KAŻDEGO

W sumie lewatywa to nic nowego. Po krótkiej przerwie od czasów Ludwika XIV ostatnio znowu staje się modna jako remedium na wszystko. Zmienił się jedynie kod, którym posługują się ludzie, którzy takowe remedium zalecają swoim pacjentom. Kiedyś wierzono, że lewatywa ma właściwości odmładzające, ponieważ pomaga pozbyć się z organizmu substancji szkodliwych. Teraz też tak jest, tylko że obecnie substancje te są produkowane przez różnego rodzaju robaki i grzyby toczące nasze wnętrzości. Obie historie są bzdurne i niepoparte faktami, ale też są dowodem na to, że historia lubi się powtarzać i że generalnie „wszystko już było”.

Cóż, niektórzy naukowcy, jak na przykład noblista Miecznikow, żyjący na przełomie XIX i XX wieku, twierdzili wręcz, że jelito grube jest dla człowieka „bezużytecznym brzemieniem”. Nie dziwi zatem fakt, że za czasów Ludwika XIV na francuskim dworze w dobrym guście było robienie sobie lewatywy. Doszło do tego, że takową damy aplikowały sobie nawet trzy razy dziennie. Aptekarze, żeby wyjść naprzeciw oczekiwaniom klientek, rozprawdzali nawet lewatywy zapachowe. Nie mówiąc o tym, że opracowano nawet specjalne ustrojstwa do samodzielnego stosowania tego inwazyjnego sposobu „leczenia” starości. Mówi się, że madame de Pompadour miała w swoim buduarze „przepięknie wykonaną strzykawkę”, której używała w wiadomym

celu. Jak bardzo przesadzano z wykonywaniem lewatywy, niech świadczy ta anegdota.

Pewna księżna tuż przed przedstawieniem teatralnym w pałacu w Wersalu, prawie gotowa do wyjścia, odziana w suknię, wzięła lewatywę w obecności Ludwika XIV. Stała odwrócona tyłem do kominka, rozmawiając z królem, gdy tymczasem jej służąca zadarła jej suknię i aplikowała enemę. Król zorientował się w końcu, że coś jest nie tak, zwrócił jej uwagę, a księżna wszystko obróciła w żart. Kobiety w tamtym czasie brały lewatywę nawet na ból głowy. Mężczyźni też nie byli lepsi, ci jednak używali jej, by zapobiec konsekwencjom zbyt obfitych posiłków.

MACICA PENISOWI NIERÓWNA

Zygmunt Freud twierdził, że każda kobieta ma kompleks penisa. Wraz z laryngologiem Wilhelmem Fliessem prowadzili nad tym narządem badania i przez dość długi czas wspierali się w nich wzajemnie. Freud w dziedzinie psychologii i psychiatrii, a Fliess w dziedzinie laryngologii.

Oczywiście nic specjalnego i doniosłego z tej współpracy wyjść raczej nie mogło, a teorie obu panów, choć w pewnej mierze znaczące, nie zdobyły szczytów w swoich dziedzinach. Freuda „korygował” potem Erich Fromm, a Fliess „wykończył” się sam.

Jednakowoż narządy rozrodcze od wieków budziły pewne kontrowersje. Starożytni (oczywiście filozofowie) twierdzili na przykład, że macica jest organem, który porusza się swobodnie w organizmie kobiety. Potem do tych twierdzeń dodano takie teorie jak te, że kobieta może mieć za jednym razem siedmioro potomstwa. Przy czym macica dzieli się również na siedem „części”: trzy po prawej, trzy po lewej i jedna pośrodku. Jeśli zapłodnienie nastąpi w trzech częściach po lewej, urodzi się dziewczynka, jeśli po prawej, to chłopczyk, a jeśli zostanie zapłodniona część środkowa, wtedy urodzi się hermafrodyta.

Opis ten pochodzi ze starożytności. Wilhelm Fliess za to w wieku XX dowodził, że penis powiązany jest w jakiś sposób z nosem ze względu na występowanie w obu narządach ciał jamistych. W swoich teoriach posunął się on zresztą i do takich twierdzeń, że „palpitacje, poty, bóle głowy, nudności, wymioty czy depresje przypisywał dysfunkcji na osi nosowo-płciowej lub też uważał, że są wywoływane przez odruch nosowy”.

Uważał także, że jedynym ratunkiem w takich przypadkach było całkowite usunięcie jamy nosowej. Brzmi strasznie? Zgadza się. Finał tej historii jest taki, że kiedyś Freud wysłał do swojego kolegi pacjentkę, która skarżyła się na bóle głowy i krwawienia z nosa. Według Zygmunta Freuda był to objaw „niezrealizowanej seksualności”. Dla Wilhlema Fliessa było jasne – jedynym sposobem leczenia była operacja, która miała całkowicie usunąć małżowinę nosową dolną oraz przyległe tkanki. A wszystko po to, żeby „zlikwidować przyczynę przeklętego odruchu nosowo-genitalnego”. Brzmi strasznie – i tak się właśnie skończyło.

Operacja zakończyła się komplikacjami, a krwawienie z nosa nie ustępowało długo po niej. Lekarze wzywani na konsultacje nie wiedzieli, co począć, i nie za bardzo chcieli naruszać „dzieło” swojego kolegi. W końcu jednak jeden z lekarzy zastosował „konsultację inwazyjną” i zajrzał w miejsce po operacji. Wyciągnął z niego trzydziestocentymetrową, sprasowaną gazę – przyczynę obrzęków i krwawienia – którą zostawiono przez pomyłkę po operacji. Kobieta wróciła do zdrowia, jednak nie odnotowano ustąpienia wcześniejszych objawów nerwicowych.

EPILOG

Historii medycyny i historii odkrywania tajemnic ciała jest wiele. Większość z nich opisuje patolog F. Gonzalez-Crussi w swojej książce. Zakończeniem niech będzie poniższy cytat, który pozwala nabrać dystansu do wszelkich mniej lub bardziej

rewolucyjnych metod leczenia i rozpoznawania chorób. „Kiedyż medycyna rozpozna swoje granice? „Nadmiernie ruchliwi” wymagają wyciszenia, depresyjni potrzebują środków pobudzających, niscy – hormonu wzrostu, otyli – leków hamujących łaknienie, szczupli – suplementów odżywczych, i tak dla każdej trudnej kwestii w życiu istnieje doraźny uśmierzający farmaceutyk.

Jesteśmy świadkami tego, co Jules Romains (1885-1972), francuski eseista i dramatopisarz, proroczo zarysował w swej satyrycznej sztuce, Knock, czyli triumf medycyny: każdy człowiek na świecie, bez wyjątku, ma coś, co musi być leczone, lub też, jak powiada lekarz w sztuce, zdrowe jednostki są chorymi pacjentami nieświadomymi [swego stanu]”.

Autor: Piotr Dobroniak

Źródło: [eLondyn](#)